

WOJNA CZY POKÓJ? PRÓBA AKSJOLOGICZNEGO SPOJRZENIA NA WSPÓŁCZESNĄ HISTORIĘ POLSKI

Roman Kubicki

Instytut Filozofii

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Jeden artykuł o pokoju i wojnie już napisałem¹. Kiedy go przeczytałem, okazało się, że nie jest to jednak takie dziwne. Tekst ten ukazał się pod tytułem *Słoń a sprawa polska, czyli rzecz o pokoju* w 1985 roku w podziemnym piśmie społeczno-politycznym „Czas”, wydawanym w Poznaniu – podobnie jak jego „brat”², „Czas Kultury” – przez Solidarność Walczącą. Jego autorem jest Janusz Szunaj, gdyż takiego właśnie pseudonimu w „Czasie” używałem. Nie ukrywam, że lektura własnego eseju była dla mnie inspirującym doświadczeniem. Gdy go pisałem, miałem 28 lat. Pozwolę sobie przytoczyć kilka fragmentów tego tekstu, opatrując je własnym – nieco schellingiańskim: ojcowsko-synowskim³ – komentarzem. Nie dlatego, że zapowiadają one przyszły geniusz jego autora, a jedynie po to, by poka-

zać, w jaki sposób, skazany na peerelowską egzystencję, wciąż liżąc rany po stanie wojennym, wprowadzonym 13 grudnia 1981 roku, myślałem wtedy o pokoju. Mam prawo podejrzewać, że znaczna część moich rówieśników, którzy źle się czuli w peerelowskiej rzeczywistości, odczuwała ten problem podobnie. W tekście nie wspominał ani o katolickim Światowym Dniu Pokoju, ani świeckim Międzynarodowym Dniu Pokoju.

Na początku zauważam: „Zapewnia się nas, że jesteście narodem szczególnie miłującym pokój. Od czasu do czasu przypomina nawet o istnieniu Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju, nie eksponując bynajmniej osoby jego przewodniczącego, niejakiego Józefa Cyrankiewicza, która bardziej kojarzy nam się z autorem koncepcji obcinania Polakom rąk aniżeli z byłym więźniem obozu koncentracyjnego” [Szunaj]. Młodszym czytelnikom „Czasu Kultury” przypominam, że oceniając poznańskie strajki w czerwcu 1956 roku, premier Józef Cyrankiewicz w swoim wystąpieniu użył metafory obcinania rąk tym wszystkim, którzy podniosą

¹ Przypomniała mi o tym artykule pani prof. Dobrochna Dabert z Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej UAM, która udostępniła mi wszystkie numery „Czasu” zawierające moje teksty.

² Chyba „brat” młodszy, ale głowy za tę tezę w zastaw nie dam.

³ „Synem Syna jest ten, kto był Ojcem Syna. [...] Tak więc Syn jest znowu przyczyną istnienia Ojca” – podkreśla Friedrich Schelling [Habermas 252].

je na władzę ludową. Prawdą jest, że Cyrankiewicz był więźniem obozów koncentracyjnych.

Okoliczność desygnowania go na reprezentanta polskich idei pokojowych komentują tak: „Komuniści uznali widocznie, że oficjalny polski ruch pokojowy nie zasługuje na poważniejszego reprezentanta lub że znalezienie na to stanowisko osoby cieszącej się choćby minimalnym szacunkiem przekracza ich możliwości”. Pozwalam sobie nawet na sformułowanie obrazoburczej wtedy hipotezy: „Być może Józef Cyrankiewicz zastąpiony zostanie w najbliższej lub dalszej przyszłości Wojciechem Jaruzelskim, kiedy ten, dopełniwszy dzieła normalizacji, w opinii swoich następców okaże się przedstawicielem i twórcą kolejnego okresu błędów i wypaczeń”. Przypomnę, że w partyjnej nowomowie wyrażenie „okres błędów i wypaczeń” oznaczało czasy PRL przed październikowymi zmianami w 1956 roku. Byłem zatem pesymistą. W 1985 roku nie było mnie stać na nadzieję, że Wojciech Jaruzelski będzie ostatnim przywódcą socjalistycznej Polski. Zauważyłem tylko, że „komuniści nie są jednak osamotnieni w swym niefrasobliwym stosunku do sprawy pokoju. [...] Wspomaga ich znaczny odłam społeczeństwa, które również nie traktuje sprawy pokoju i wojny nazbyt serio, aczkolwiek z odmiennych niżli komuniści powodów”. Postawa ta może zastanawiać, zauważam, ponieważ „to na Polskę właśnie spadnie najwięcej rakiet i bomb. Spadną na nas rakiety amerykańskie, spadną i radzieckie”. Te ostatnie – podkreślam – na skutek fatalnego wykonania. Następnie piszę: „Grozi nam śmiertelny, bo komunistyczno-kapitalistyczny grad, a my nic. Po prostu – nic. W tak zwanych pokojowych manifestacjach [1 Maja – R.K.] aktywny udział bierze jedynie tak zwany aktyw. Sekretarz gminy manifestuje wierność sekretarzowi wojewódzkiemu, a ten ostatni zbiera punkty w pamięci... sekretarza szczebla centralnego, który z kolei raz do roku daje wyraz swej wierności nie tyle sprawie pokoju, ile jego radzieckiej wykładni. [...] Oczywiście sekretarze nie manifestują sami. Wspomagają ich zbawidowcy dowiezieni zakładowymi autobusami, przyprowadzeni w równym szyku obywatele umundurowani. [...] Jest również młodzież szkolna, koniecznie pod opieką nauczycieli uzbrojonych w listę obecności”.

Podsumowuję: „Manifestacje pokojowe mają w naszym kraju charakter wybitnie kadrowy. Uczestniczą w nich ci tylko, którzy muszą. Przy czym imperatyw wewnętrzny nakazujący uczestniczyć w takich imprezach ma charakter hipotetyczny: jeśli chcę osiągnąć to i owo, moja obecność na manifestacji musi być zarejestrowana

przez Tego lub co najmniej Tamtego, który jest w bardzo bliskich kontaktach z Tym”.

Nadszedł już czas na pytanie dla mnie wtedy najważniejsze: „A jak to jest z nami? Z tą od pięciu lat nie zawsze już milczącą większością?”. Nie zawsze milcząca większość to ci Polacy, którzy nie chcieli lub nie umieli utożsamiać się z peerełowską Polską. Wymieniam dwa powody „pokojowej bierności” społeczności antypeerełowskiej.

Powód pierwszy: „przez czterdzieści już lat komunistom udało się (dobrze, dobrze – prawie) wyperswadować nam jakiegokolwiek próby wpływania na charakter podejmowanych przez nich decyzji poprzez zorganizowane manifestacje NASZYCH przekonań i nastrojów. Dlatego artystyczna wyobraźnia nawet najbardziej partyjnego malarza nie potrafiłaby odnaleźć się w namalowaniu obrazu stutysięcznej, żywiłowej i spontanicznej manifestacji, na czele której kroczy wspomniany już nieszczęsny Józef Cyrankiewicz, jako się rzekło – przewodniczący OKP od roku 1973, a od lat dwóch wiceprzewodniczący (w pewnym sensie) Światowej (demokratycznej w sposób centralistyczny) Rady (tak zwanego) Pokoju”⁴.

Wychodzi na to, że „miłujemy więc pokój, nie okazując swych uczuć. A może to miłość nie dość intensywna i dobrze nam bez uzewnętrzniania jej?”. Na Zachodzie jest zdecydowanie inaczej, to znaczy – bez zmian: „Jeśli wierzyć dziennikowi telewizyjnemu, obywatele państw ideologicznie zacofanych wprost lubują się w organizowaniu antywojennych manifestacji. Dla mnie najciekawszą ich formą jest blokowanie przez nich amerykańskich baz wojskowych. Dziennik nie szczędzi nam widoku policjantów (a pan Małczyński – komentarza) rozpędzających taką – często leżącą – manifestację. Nie obywa się bez użycia pałki, gazu czy armatki. Policja zachodnia lubi zdejmować białe rękawiczki. Warto by ją porównać z «naszą» milicją”. Tutaj zaczynają się jednak schody: „Porównanie takie utrudnia okoliczność, że jak dotąd nie było u nas przypadku blokowania przez kilka tysięcy rodaków bramy bazy wojskowej zaprzyjaźnionego państwa. A bez tych jest przecież u nas niemało”. Pozwalam sobie nawet na sarkazm: „Nie wątpię, że manifestanci zostaliby zaproszeni przez dowództwo takiej zablokowanej jednostki na wspólną grochówkę z wkładką i że przy stole wyjaśniono by sobie istniejące (oczywiście nieobiektywne) rozbieżności”.

⁴ Światowa Rada Pokoju to międzynarodowa organizacja – jakoby pozarządowa – którą utworzono w 1950 r. w Warszawie, podczas II Światowego Kongresu Obrońców Pokoju. Od początku istnienia do końca lat 80. była uzależniona politycznie i finansowo od Związku Radzieckiego, rocznie przeznaczającego na jej funkcjonowanie 50 mln dolarów. Istnieje nadal.

Przytomnie jednak studzę mój optymizm: „Nie wiem tylko, czy zaproszenie zostało przyjęte. Polacy byli bowiem często zapraszani na takie «wyjaśniające» spotkania, na których dane im przez radzieckich oficerów gwarancje bezpieczeństwa zamieniały się w haczyk. I to haczyk połknięty tak głęboko, że jedynie komunistyczne więzienie lub obóz mogły zapewnić warunki odpowiednie do jego usunięcia z naiwnego polskiego organizmu”.

Jest i powód drugi. Diagnozuję: „Nie manifestujemy, bo nie wolno – zauważy niejedyn”. Moja riposta jest natychmiastowa: „W stwierdzeniu tym zawarte jest tylko pół prawdy. Do sprawy pokoju mamy bowiem stosunek zaiste dialektyczny. Nie chcemy wojny, gdyż nikt przy zdrowych zmysłach nie pragnie śmierci i zagłady, nie tęskni do zbrodni tym razem być może już naprawdę niemiej. Prawie siedemdziesięcioletnia historia Związku Radzieckiego (zwłaszcza ta historia) pokazuje przecież wyraźnie, że zbrodnia woła o pomstę do nieba jedynie ustami swych świadków. Jej głos, niewzmocniony zapisanymi i wydanyymi stronami powieści, wierszy i artykułów, nieprzekładany na filmowy lub wszelki inny obraz, zamiera po prostu w zbiorowej pamięci. Zamiera, lub, co gorsze, odtwarzany przez rozbudowany mechanizm propagandy staje się głosem rzeczywistości fałszywej, w której za zbiorową mogiłą nie kryje się zbrodnia, a jeśli nawet, to jedyną winę za nią ponoszą jej ofiary”.

Po tej historiozoficznej uwadze wracam do aksjologicznej pozycji w polskiej wyobraźni problemu pokoju. Cytat będzie, niestety, długi, za co przepraszam. Przypominam, mamy rok 1985, a ja piszę wtedy to, co myślę, bo w „Czasie”, redagowanym przez Włodzimierza Filipka⁵, obowiązuje zasada „*hulaj pióro, cenzury nie ma*”.

„Wróćmy jednak do sprawy pokoju. Jakże często w sytuacjach możliwych tylko w tym systemie słyszy się: «Tylko wojna może to zmienić. Tylko wojna, wyzwoliwszy nas spod opieki wschodnich sąsiadów, jest w stanie przyczynić się do stworzenia naszemu nienormalnemu społeczeństwu normalnych warunków do normalnego rozwoju. Na nic strajki i ulotki, na nic Nobel dla Wałęsy, protesty Zachodu spóźnione o co najmniej 40 lat. Na nic to wszystko. Tylko wojna może zachwiać (oby) glinianymi nogami wschodniego olbrzyma... Tylko wojna...». Jakież to sytuacje prowokują do takich zwierzeń? – zapyta ciekawski. Ano zwyczajne. Chociażby kiedy kolejny autobus wylatuje z rozkładu lub z dziennika

telewizyjnego dowiadujemy się, że żyje nam się lepiej o 1,253%, w kolejce po papier toaletowy czy wołowinę z kością, miejmy nadzieję, że też wołową. Podejrzewam, że w społeczeństwie żyjącym normalnie sytuacja zwyczajne (oczywiście nie takie same) nie prowokują tak radykalnych stwierdzeń dotyczących bądź co bądź spraw wojny i pokoju. Że recepty na przyszłość sporządza się ze spokojniejszych składników”.

Podkreślam, że podświadome wiązanie nadziei z wojną nie jest typowe tylko dla ludzi młodych, którzy jej nie doświadczyli. „Jakże często wypisują je [te recepty – R.K.] również świadkowie i uczestnicy ostatniej wojny światowej. Ludzie znający więc okrucieństwo wojny wszelkiej, również i tej, w której chodzi o wolność. Właśnie dlatego są przerażeni tą konstrukcją myślową, która wylęła się w ich głowach jako rozpaczliwy wyraz niezgody na powojenną, narzuconą nam przez Wschód i Zachód rzeczywistość, w której przyszło nam wegetować”. Wreszcie nadszedł czas na konkluzję.

Ujmując rzecz patetycznie, można by powiedzieć, że nie chcąc wojny, równocześnie lękamy się wizji Polski spustoszonej przez zimny wiatr pokoju wiejący od Wschodu. Za tym patosem kryje się smutna prawda. Zachód na wojnie może jedynie stracić. My zaś nie. Istnieje bowiem malutkie prawdopodobieństwo, jeden na sto, może nawet do miliona, że nie tylko wygralibyśmy wojnę, ale i pokój, zawierając go jako niepodległe państwo i wolne społeczeństwo.

Potencjał wojny

Okazuje się, że dla wielu także wojna może być źródłem tragicznej nadziei. Tragicznej, ponieważ jej koszty mogą okazać się niewspółmierne do ewentualnych korzyści. Pod koniec lat 80. historia po raz drugi życzliwie uśmiechnęła się do Polski. Kiedy uczyniła to pierwszy raz w 1918 roku, nasi dziadkowie musieli jednak zdobyć się na taką „gotowość złożenia daniny”, która „tkwi u podstaw tak zwanych *cnót wojskowych*” [Toynbee 8]. Wygraliśmy nie tylko wojnę, lecz także pokój. W 1945 roku historia nie uśmiechnęła się do nas, lecz usłyszeliśmy jej obrzydliwy chichot. Choć także równie zdecydowanie – między innymi dzięki wspomnianym już cnotom wojskowym – wygraliśmy wojnę, zarazem w znacznym stopniu przegraliśmy pokój. Chichot historii przesładował Polskę do 1989 roku, w którym, choć nie wygraliśmy żadnej wojny, zdecydowanie wygraliśmy pokój. Przy Okrągłym Stole spotkali się ludzie, którzy swe ewentualne cnoty wojskowe pozamykali w szufladach razem z bielizną i skarpetkami. Zwyciężyły duch kompromisu i mądrość dialogu. Do polskich domów

⁵ Włodzimierz Filippek (1957–2005) – działacz poznańskiej opozycji. W latach 70. współpracował z Komitetem Obrony Robotników, uczestniczył w podziemnym ruchu wydawniczym. W 1980 r. współtworzył w Poznaniu Niezależne Zrzeszenie Studentów. Należał również do współzałożycieli Wszechnicy Robotniczej, organizującej wykłady w zakładach pracy i prowadzącej działalność wydawniczą. Podczas stanu wojennego internowany w Gębarzewie. Po zwolnieniu z internowania kontynuował działalność opozycyjną.

nie trafiał bratobójczy świst polskich kul, lecz co najwyżej życiodajny odgłos magdalenkowych toastów. Nie padł ani jeden strzał, a mimo to kilka lat później, 16 września 1993 roku, ostatni żołnierz Armii Czerwonej opuścił Polskę.

Taki mitologiczny kamień założycielski wolnej Polski w niejednej wyobraźni aksjologicznej może być martwy. Jeżeli wolna Polska ma być wielką wartością, musi mieć odwagę i potrzebę domagania się od Polaków złożenia na swym ołtarzu ofiary życia. Wartości różnią się między sobą wielkościami. O wielkości każdej z nich decyduje ilość ludzkiej krwi, którą potrafi ona pochłonąć i strawić. Im więcej ludzi oddaje życie za wartość, tym wartość jest większa. Dlatego wojna jawi się często takiej wyobraźni jako jedyne źródło siły tworzącej prawdziwych bohaterów. Ponieważ ostatnia – zwycięska – bitwa o wolną Polskę odbyła się w 1989 roku przy Okrągłym Stole (przy którym każdy zajmuje równie uprzywilejowane miejsce), a nie w lasach świętokrzyskich lub w Puszczy Białowieskiej, ani tym bardziej na ulicach Warszawy, Krakowa, Poznania, Wrocławia i Gdańska, prawdziwa wyobraźnia patriotyczna odczuwa niedosyt.

Niedosyt ten ma swoje bardzo porządne uprawomocnienie filozoficzne. „Cóż bowiem jest nawet dla człowieka dzikiego przedmiotem największego podziwu?” – pyta na przykład Immanuel Kant, by zaraz udzielić odpowiedzi: „Człowiek, który nie wie, co to strach, który się nie lęka, a więc nie cofa przed niebezpieczeństwem, lecz z całym spokojem mężnie przystępuje do dzieła. Nawet w najbardziej cywilizowanym stanie zachowuje się nadal ten szczególnie wysoki szacunek dla wojownika; tylko że wymaga się ponadto, by posiadał zarazem wszelkie cnoty pokojowe: łagodność, współczucie i nawet pewną, jak przystoi, dbałość o swą własną osobę – a wszystko właśnie dlatego, że poznaje się po tym, iż umysł jego nie cofnie się przed niebezpieczeństwem. Dlatego też, choćby nie wiadomo jak spierano się przy porównaniu męża stanu z wodzem o to, który z nich zasługuje na wyższy szacunek – przynajmniej filozof – sąd estetyczny rozstrzyga na korzyść drugiego. Nawet wojna, jeśli prowadzona jest z zachowaniem porządku i z poszanowaniem praw obywatelskich, ma w sobie coś wzniosłego. Przy czym czyni ona charakter narodu, który wie, że ją w ten sposób, tym wznioślejszym, im liczniejsze były niebezpieczeństwa, na jakie był narażony i wśród których zdołał mężnie przetrwać. Natomiast długotrwały pokój wiedzie zazwyczaj do panowania niskiej chciwości, tchórzostwa i zniewieściałości” [Kant 160, 161]. Warto w tym miejscu przypomnieć Hegla, który także podkreślał, że „życiem ducha

nie jest takie życie, które lęka się śmierci i ucieka przed zniszczeniem, chcąc pozostać nieskażone, lecz takie życie, które potrafi śmierć wytrzymać i w niej się nadal zachować” [Fenomenologia 43, 44]. To właśnie poprzez takich ludzi urzeczywistnia się w historii idea wolności. Nic więc dziwnego, że „dzieje powszechnie nie są krainą szczęścia. Okresy szczęścia w dziejach to puste karty historii, ponieważ są to okresy zgody, okresy wolne od przeciwieństw” [Wykłady 41]. Aby zatem takich pustych kart było jak najmniej, „wielki człowiek musi zdeptać na swej drodze niejedną niewinny kwiat i niejedną rzecz zburzyć” [49].

Wyróżnienie przez sąd estetyczny wojownika nie przesądza jeszcze jego analogicznej nobilitacji przez sąd etyczny; podobnie zresztą wyróżnienie przez sąd etyczny nie przesądza nobilitacji przez sąd estetyczny. Nuda, która możliwa jest w świecie sądów etycznych, w zdecydowany sposób wykluczana jest przez świat doznań estetycznych. Chciwość niekoniecznie musi być nudna; jeśli jest nudna, znaczy to, że do czynienia mamy z jej niską odmianą. Również tchórzostwo nie zawsze musi być nudne. Zniewieściałość nie jest cechą kobiet, lecz niektórych mężczyzn. Choć zniewieściały mężczyzna może być dobrym człowiekiem, nie może jednak być dobrym i prawdziwym mężczyzną, ani tym bardziej – dobrą kobietą. Tworzy zatem sytuację przedziwną: nie jest ani dobrym mężczyzną, ani dobrą i prawdziwą kobietą, a mimo to pozostaje jednak dobrym człowiekiem. Jako człowiek jest albo mężczyzną, albo kobietą; natomiast jako dobry człowiek nie jest żadnym z nich – ani dobrym i prawdziwym mężczyzną, ani dobrą i prawdziwą kobietą. Duszę pożądlivą ma zarówno wojownik, jak i kupiec. Pożądlivostwo kupieckie jest jednak zniewieściała, w przeciwieństwie do pożądlivosti wojowniczej, która jest męska i wzniosła. Zabijanie jest z estetycznego punktu widzenia ciekawsze od banalnego – bo powszechnego – unikania śmierci za wszelką cenę. Kant słusznie się domaga, aby wzniosły wojownik zwłaszcza we wrogu miał odwagę widzieć – w perspektywie tak zwanych cnót pokojowych – człowieka. Im wyraźniej i lepiej widzi człowieka wojownik, tym większe prawdopodobieństwo, że uda mu się go zabić, nie zostawszy samemu przez niego zabitym. Poza wyobraźnią emitowaną przez próbę śmierci doświadczenie życia jawi się jako jałowe i kalekie.

Filozofowie na front!

Ani Kant nie był żołnierzem, ani Hegel. Wojownikiem był natomiast Sokrates, o czym Platon wspomina

w *Uczcie*. „Kilka” lat później, w 1915 roku, zgłosił się jako czterdziestoletni ochotnik do wojska niemiecki filozof Emil Lask (ur. 25 września 1875 r. w Wadowicach)⁶, którego epizod wojenny zakończył się śmiercią 26 maja tego samego roku pod Turzą Małą w Karpatach.

Frontowy epizod znajdujemy także w filozoficznym życiu Ludwiga Wittgensteina (1889–1951), dla którego „wojna stała się centralnym doświadczeniem w jego życiu i filozofii” [Gutorow 111]. Dwudziestopięcioletni Wittgenstein zgłosił się do wojska 7 sierpnia 1914 roku – dzień po wypowiedzeniu przez Austrię wojny Rosji. Nie mógł jednak zostać powołany do czynnej służby, ponieważ miał przepuklinę. Dlatego, choć chciał od razu znaleźć się na pierwszej linii frontu i stanąć „oko w oko ze śmiercią” [Monk 132], został przydzielony do obsługi reflektora na pływającym po Wiśle statku. Dopiero w marcu 1916 roku posłano go na pierwszą linię frontu jako szeregowca. „Wittgenstein poprosił, aby umieszczono go w punkcie obserwacyjnym, gdzie mógł być łatwym celem nieprzyjacielskiego ognia” [Gutorow 113]. Dwudziestego czwartego czerwca notuje: „Strzelano do mnie. Przy każdym strzale kurczyłem się całą mą istotą. Tak bardzo chcę żyć” [Monk 168]. To jego ważna biofiliczna deklaracja. Mimo że wojna nie fundowała austriackiemu filozofowi nasyconego metafizyczną treścią doświadczenia trwogi, lecz jedynie biologiczny strach przed śmiercią, była ona przeżyciem pozytywnym, które „wyzwalało ukryty potencjał istoty ludzkiej” oraz „dawało poza tym rękomię egzystencji absolutnej, utwierdzonej przez konfrontację ze śmiercią” [Gutorow 113]. Miesiąc wcześniej pisał: „Tylko śmierć nadaje sens życiu” [Monk 161]. Wittgenstein nie miał wątpliwości: „wojna uratowała moje życie, nie wiem, co bym bez niej zrobił” [McGuinness 204]. Można go zdecydowanie uznać za przedstawiciela tej przedwojennej formacji kulturowej, która właśnie z wojną wiązała nadzieję na możliwość wypełnienia ludzkiej egzystencji poczuciem sensu. Formacja ta była żywa zwłaszcza w niemieckojęzycznym kręgu językowym oraz – odpowiednio zdekonstruowana – między innymi także wśród Polaków żyjących pod zaborami⁷. Jej aksjologiczną i retoryczną perspektywę prezentuje

przenikliwie sam Tomasz Mann, który zaraz po wybuchu pierwszej wojny światowej napisał: „Ten świat pokoju, który właśnie zawałił się z takim potężnym hukiem – czyż nie mieliśmy go już wszyscy dość? Czyż nie gnął i nie śmierdział rozkładem cywilizacji? Odczuwałem moralną i psychologiczną potrzebę tej katastrofy, potrzebę oczyszczenia, uwznioślenia i uwolnienia, kiedy w końcu stało się to, co wcześniej wydawało się niemożliwe” [Waugh 66].

Duchowy stan inteligencji sprzed pierwszej wojny światowej znakomicie oddaje tytuł powieści austriackiego pisarza Roberta Musila *Człowiek bez właściwości*, której fragmenty po raz pierwszy ukazały się w latach 30. ubiegłego wieku. Dlatego tę potrzebę uczestniczenia w wojnie – to znaczy skazania siebie na sytuację, w której śmierci się nie unika oraz na nią nie czeka, lecz – przeciwnie – nie bez dumy i nie bez strachu idzie się jej naprzeciw – trzeba chyba uznać za część odpowiedzi na pascalowskie pytanie, co zrobić z myślami, które rodzi poczucie dżina bezsensu wypuszczonego z butelki nadmiaru wolnego czasu⁸.

Prawo do nadziei na wojnę

Polacy wraz z wieloma innymi nacjami nie żyli w niepodległych państwach, co sprawiało, że w ich przypadku dylematy egzystencjalne i metafizyczne mieszały się z potrzebami politycznymi. W polskiej kulturze najbardziej chyba znaczącym potwierdzeniem tego stanu rzeczy jest przemiana Gustawa, skupionego na swojej niespełnionej miłości do kobiety, w Konrada, który bierze na siebie odpowiedzialność za cały naród. Tyrteusz, niegdyś zagrzewający swoimi wierszami Spartan do boju, staje się wzorem poety, żołnierza – wzorem Polaka. Maria Janion w klasycznym już eseju *Wojna i forma* podkreśla, że całe polskie wieki XIX i XX wypełnione są dyskusją o czynie. Spory dotyczą sposobu definiowania tego pojęcia. Jakże działania są przejawem czynu, a jakie nie. Organicznicy domagali się, by także ich działalność została uznana za „czyn” i „służbę”. Najpierw chcieli doprowadzić do zrównania wartości „czynu orężnego” i „czynu mrówczej pracy”, by następnie doprowadzić do nadania wyższej kwalifikacji etycznej temu ostatniemu [190].

Za przykład takiego myślenia może chociażby posłużyć filozofia Edwarda Abramowskiego (1868-1918), dla którego „stało się jasne, że organizacja kooperatyw

⁶ Przedstawiciel neokantowskiej szkoły badenkiej, uczeń Heinricha Rickerta. Pochodził z rodziny żydowskiej, która z Wielkopolski przeniosła się do austriackiej Galicji. W wieku 20 lat przeszedł na protestantyzm. Studiował prawo i filozofię we Fryburgu i Strasburgu. Po uzyskaniu doktoratu i habilitacji, w 1905 r. został profesorem uniwersytetu w Heidelbergu.

⁷ Piszę „między innymi”, ponieważ jestem pewien, że Polacy nie mieli monopolu na wiązanie nadziei z wojną światową.

⁸ Pascal opisuje w *Mysłach* sytuację ludzi żyjących w kartezyjańskim – czyli nowocześnie – obrazie świata, w którym Bóg ma się o tyle dobrze, o ile nie ingeruje w ich los. Nowoczesność skazuje Boga na milczenie i bierność, ponieważ każde wypowiedziane przez Niego słowo – oraz ewentualnie podjęte działanie: choćby cud – woła ustami ludzi zdradzonych przez nadzieję na cud o pomstę do nieba.

spożyców jest sama w sobie niewystarczająca. Uznał on, że konieczna jest edukacja obywatelska wykształcająca w społeczeństwie pożądane cechy, czyli poczucie więzi z członkami społeczności. W tym celu postulował powołanie tak zwanych Związków Przyjaźni. [...] Abramowski uważał, że rola przyjaźni w społeczeństwie jest nie do przecenienia, a jej brak oznacza krzywdę. Miała być ona wybawieniem od nędzy, siłą, która szerzy wolność, jej zaś przeciwieństwem jest egoizm, wyrastający w atmosferze kapitalizmu” [Leszczyński XVII].

Skądinąd okazuje się, że na poklask świata mogą liczyć polskie czyny nie tylko waleczne, lecz także organiczne. „Polacy w Niemczech rozwinęli w niezwykłym zakresie organizację kredytu, oddłużania, osiedlania” – chwalił naszych pradziadów Max Weber [270].

Organiczni byli jednak w trudniejszej sytuacji aniżeli pierwcy wartości wojennych i martyrologicznych. „W czasach szlacheckiej Rzeczypospolitej wojsko – ze względu na swe walory moralne musiało być – za uważa Maria Janion – traktowane jako lepsza część społeczeństwa, w dobie powstania kościuszkowskiego i wojen napoleońskich elita intelektualna prawie pokrywała się z elitą oficerską, a później aureolą najwyższej zasługi otoczony był «człowiek podziemny» – konspirator, bojownik, męczennik za sprawę wolności” [190-191].

Pamiętajmy też, że większość tych Polaków, dla których Polska pozostawała najważniejszą sprawą, traktowała niezwykle poważnie słowa „o wojnę powszechną ludów, prosimy Cię, Panie” [Szpakowska 146-147]. Historia naszych narodowowyzwoleńczych powstań jednoznacznie wskazywała, że jeśli Polska ma odzyskać niepodległość, musi jej problem stać się częścią problemu Europy. I tak też się w 1918 roku stało.

O tej lekcji z naszej historii zapomnieli polityczni pomysłodawcy powstania warszawskiego oraz ci wszyscy żołnierze – zwani najczęściej przez polską pravicę żołnierzami wyklętymi lub niezłomnymi – którzy postanowili prowadzić walkę o „prawdziwie wolną Polskę z socjalistycznym państwem”. Socjalistyczna Polska była ewidentnie państwem satelickim, podporządkowanym – za zgodą najbardziej prominentnych państw zachodnich – w każdym wymiarze swego istnienia Związkowi Radzieckiemu. Żołnierze wyklęci, walcząc więc z PRL (który choć *de iure* powstał dopiero w 1952 r., *de facto* istniał pod mylącą nazwą Rzeczpospolita Polska od 1945 r.), prowadzili zarazem wojnę z samym Związkiem Radzieckim? Samotna Polska nie mogła jej wygrać. Im więcej byłoby żołnierzy wyklętych, tym

większa byłaby liczba ofiar po polskiej stronie. Tym razem Polacy mieli instynkt samozachowawczy i dlatego żołnierzy wyklętych było niewielu. Zdecydowana większość naszych ojców i dziadków opowiedziała się po stronie życia, a nie samobójczej śmierci narodu, której projekt skrywała polityczna głębia postulatu żołnierzy wyklętych, by kroczyć w historii Polski kolejną ślepą uliczką. Zwłaszcza zdradzeni przez świat muszą zabiegać o jego polityczną życzliwość oraz cierpliwość na nią czekać.

Śmierć jako wydarzenie polityczne

Pierwszego marca obchodzimy w Polsce Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych, który został ustanowiony przez Sejm w 2011 roku. Pierwszego marca 2018 roku prezydent Polski Andrzej Duda wystąpił z przesłaniem, w którym określa się wobec ich tradycji. Na wstępie przesłania podkreślił, że „epopeja powstania antykomunistycznego weszła na trwałe do kanonu naszych dziejów ojczystych”. Przywołane pojęcie powstania antykomunistycznego budzi militarne – niekoniecznie polityczne – skojarzenia z powstaniem styczniowym, którego istotą były nie bitwy, lecz potyczki. W tej wyobraźni zorientowanej na myślenie analogiczne powstanie warszawskie jest – paradoksalnie – mitologicznym spadkobiercą powstania listopadowego: choć nie ma w nim *listopadowych* bitew, jest walka o *warszawskie* obiekty. Pan prezydent nie ma wątpliwości, że „prawda o drugiej konspiracji, o powszechnym oporze Polaków przeciwko powojennej sowietyzacji, o heroicznych walkach oddziałów «leśnych» jest dziś fundamentem niepodległej Rzeczypospolitej” [Duda]. Prezydent buduje zatem Polskę na kruchym – bo życzeniowym – fundamencie. Nie było powszechnego oporu, bo żadne formy zbrojnego protestu nie miały już wtedy sensu. Opór Polaków wobec powojennej sowietyzacji był powszechny i zarazem nie był powszechny. Znaleźliśmy nawet sposób na rozwiązanie nierozwiązalnego dylematu: „jak zjeść ciasteczko i mieć ciasteczko”. W wielu wymiarach życia zdecydowana większość naszych przodków wykazywała się wręcz ostentacyjną wiernością: Polacy nade wszystko odbudowywali zarówno niewyobrażalnie osłabioną swoją tkankę biologiczną i materialną, jak i kulturową (zaczęli się wreszcie po pięcioletniej przerwie rozmnażać, odbudowywać zniszczone miasta, reaktywować stare uniwersytety lub zakładać nowe⁹, organizować szkolnictwo oraz wszelkie możliwe dziedziny szeroko rozumianej kultury symbo-

⁹ Pojęcie uniwersytetu obejmuje, rzecz jasna, w tym przypadku wszystkie szkoły wyższe.

licznej); zarazem już w pierwszym referendum zmusili komunistów do sfałszowania jego wyników, mimo że ci zapytali ich tylko o to, czy chcą być zdrowi, piękni i bogaci.

Sensowność walki zbrojnej trzeba mierzyć nade wszystko na skali jej możliwego sukcesu. Jeśli prawdopodobieństwo zwycięstwa jest zerowe, walka albo traci wszelkie znamiona politycznego sensu, albo, uwolniona od niego, staje się łabędzim śpiewem tragedii życia skazanego na śmierć. W ten sposób dochodzimy do istotnej różnicy między wojennym losem Polaków a wojennym losem Żydów. Powstania warszawskiego mogło nie być. Jego nieobecność w historii Polski można sobie łatwo wyobrazić: nieporównywalnie mniej zniszczona Warszawa mogłaby być dzisiaj miastem turystycznie równie atrakcyjnym jak Praga lub Kraków; Krzysztof Kamil Baczyński i Tadeusz Gajcy po zagojeniu ran – których najpewniej nabawiliby się, wchodząc albo w krótki romans z socrealistycznym projektem kultury, albo zdecydowanie go odrzucając – mogliby wydać jeszcze kilkanaście tomików wierszy, dzięki którym polska literatura zdobyłaby kilkanaście cennych punktów na światowych rankingach kulturowej atrakcyjności poszczególnych nacji; Władysław Tatarkiewicz, zamiast tracić czas na ponowne pisanie swojego traktatu *O szczęściu*, mógłby zacząć tworzyć książkę o niewinności lub nadziei. Z powstaniem w getcie sprawa ma się zdecydowanie inaczej.

W polskim krajobrazie losu śmierć penetrowała zawsze – zawsze, ale, rzecz jasna, nie tylko – wszelkie możliwe ścieżki, drogi i ulice społecznego i politycznego życia; w krajobrazie żydowskim śmierć była kolejnym domownikiem zameldowanym przez niemieckich nazistów. Żydzi zgromadzeni w getcie mogli tylko albo biernie czekać na śmierć, albo wyjść jej naprzeciw. Żaden z nich nie był także w sytuacji Emila Laska lub Ludwiga Wittgensteina, którzy fundowali sobie doświadczenie wyjścia naprzeciw śmierci w oparach wiary – w przypadku pierwszego z nich zdecydowanie zwodniczych – w jej uniknięcie. W przeciwieństwie do Polaków mieszkających w Warszawie, którzy mogli żyć w świetle nadziei na przeżycie wojny, „Żydzi z getta” swego życia nie mogli uratować. Ich losu nie opisywała alternatywa polskiego życia: „żyć kłęcząc, czy raczej umierać, stojąc/w biegu/w walce”, lecz jedynie alternatywa śmierci: „umrzeć kłęcząc czy walcząc”. Dlatego uważam, że prezydent Andrzej Duda nie ma racji, gdy mówi o współnocie w czasie drugiej wojny światowej polskiego i żydowskiego losu. To z fundamentalnych powodów nie był ten sam los.

Chwała bohaterom pokoju

Następnie prezydent Andrzej Duda powiedział: „Ocaliliśmy swoją tożsamość i pamięć o tym, kto – w najtrudniejszych dla naszej wspólnoty w czasach terroru i opresji dwóch reżimów totalitarnych: III Rzeszy Niemieckiej i Rosji Sowieckiej oraz jej satelitów – był prawdziwym bohaterem wolnej Polski, a kto jej ciemniącą i zdrajcą” [“Ważne przesłanie”]. Zdanie piękne, ale głęboko niejasne. Nikt nie ma wątpliwości, że świat przeciwzył w XX wieku te dwa totalitaryzmy. Czy na pewno jednak prezydent Polski powinien szukać dla nich wspólnego mianownika? Wszak większość Polaków żyła inaczej – powtórzę – w czasie okupacji sowieckiej aniżeli niemieckiej. Dlatego zastanawia ta wypowiedź prezydenta Andrzeja Dudy: „wielki triumf tych naszych szlachetnych, prawych, zawsze wiernych Ojczyźnie rodaków, którzy w imię zasad najwyższych, konstytuujących naszą wspólnotę, podjęli bój ze złem i zniewoleniem, chociaż nie mieli szans zwyciężyć. To im potomność przyznała rację” [“Ważne przesłanie”].

Czy na pewno prezydent ma rację? Jeśli nie ma szansy na zwycięstwo, a mimo to można uratować życie, trzeba stawiać na życie, a nie na politycznie bezpłodną śmierć. Tragiczną i zarazem politycznie bezcelową śmierć tak zwanych żołnierzy wyklętych zaczęła wypełniać niekoniecznie politycznie mądrym sensem dopiero III RP, której ojcowie założyciele-uczestnicy: poznańskiego Czerwca '56, Października '56, Marca '68, Grudnia 1970, Czerwca 1976, festiwalu wolności 1980–1981 i wreszcie „biesiadnicy” Okrągłego Stołu – nigdy nie powoływali się na ich tradycję: byli nieobecni w polskiej wyobraźni, ponieważ nie mieli jej nic konstruktywnego do zaproponowania. Nieporównywalnie większy wpływ na kształtowanie naszego myślenia miała polska emigracja, która mogła kontaktować się za pośrednictwem czasopism oraz niezależnych rozgłośni radiowych z Polakami żyjącymi w PRL.

Wbrew sugestii prezydenta Andrzeja Dudy swoją tożsamość ocaliliśmy nie dzięki żołnierzom wyklętym. Zawdzięczamy ją głównie peerelowskiemu uniwersytetom, peerelowskiej edukacji, peerelowskiemu radiu i telewizji, peerelowskiej sztuce i – wreszcie – polskiej literaturze, skądinąd także w znacznym stopniu peerelowskiej. Wymienić tutaj trzeba, oczywiście, również Kościół, który owocnie uczył Polaków, nie tylko wierzących, mądrej – bo płodnej – sztuki współżycia z peerelowskim potworem. •

LISTA PRAC CYTOWANYCH

- Duda, Andrzej. "Przesłanie Prezydenta RP z okazji Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych". *Prezydent.pl*, 5 marca 2018, <http://www.prezydent.pl/aktualnosci/wypowiedzi-prezydenta-rp/inne/art,610,przeslanie-z-okazji-narodowego-dnia-pamieci-zolnierzy-wykletych.html>.
- Gutorow, Jacek. "Wittgenstein i koniec myślenia. O wojennym epizodzie w biografii wiedeńskiego filozofa". *Przegląd Polityczny*, no. 130, 2015, pp. 106-116.
- Habermas, Jürgen. *Teoria i praktyka. Wybór pism*. Edited by Zdzisław Krasnodębski, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1983.
- Hegel, Georg W.F. *Fenomenologia ducha*. Translated by Światosław Florian Nowicki, Wydawnictwo Aletheia, 2002.
- . *Wykłady z filozofii dziejów*. Translated by Adam Landman and Janusz Grabowski, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1958.
- . *Płacz generała. Eseje o wojnie*. Wydawnictwo Sic!, 1998 (2. wydanie 2007), pp. 23-126.
- Janion, Maria. "Wojna i forma". *Literatura wobec wojny i okupacji*, edited by Michał Głowiński i Janusz Sławiński, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, 1976, pp. 187-267.
- Kant, Immanuel. *Krytyka władzy sądzienia*. Translated by Jerzy Gałęcki, Wydawnictwo Naukowe PWN, 2004.
- Leszczyński, Filip K. "Spółdzielczość – kurs nieobrany?". *Spółdzielczość jako organizacja gospodarcza w II RP. Wybór pism*, edited by Filip K. Leszczyński, Oficyna Naukowa, 2017, pp. IX-LI.
- McGuinness, Brian. *Wittgenstein: A Life*. Volume I: "Young Ludwig 1889–1921", University of California Press, 1988.
- Monk, Ray. *Ludwig Wittgenstein. Powinność geniusza*. Translated by Adam Lipszyc and Łukasz Sommer, Wydawnictwo KR, 2003.
- Szpakowska, Małgorzata. „*Wiadomości Literackie*” prawie dla wszystkich. Wydawnictwo W.A.B., 2012.
- Szunaj, Janusz (Kubicki, Roman). "Słoń a sprawa polska, czyli rzecz o pokoju". *Czas*, no. 4-5, 1985, pp. 85-88.
- "Światowy Dzień Pokoju". *Internetowa Liturgia Godzin*, 31 grudnia 2017, <http://www.brewiarz.katolik.pl/czytelnia/sdp.php3>.
- Toynbee, Arnold J. *Wojna i cywilizacja*. Selected by Albert vann Fowler. Translated by Tadeusz Jan Dehnel, PAX, 1963, Warszawa.
- Waugh, Alexander. *The House of Wittgenstein. A Family at War*. Bloomsbury, 2008.
- "Ważne przesłanie prezydenta: «Żołnierze Wyklęci stoją dziś w długim szeregu rodaków zasłużonych dla sprawy niepodległej Rzeczypospolitej»". *wPolityce.pl*, 28 lutego 2018, <https://wpolityce.pl/polityka/383756-wazne-przeslanie-prezydenta-zolnierze-wykleci-stoja-dzis-w-dlugim-szeregu-rodakow-zasluzonych-dla-sprawy-niepodleglej-rzeczypospolitej>.
- Weber, Max. *Gospodarka i społeczeństwo. Zarys socjologii rozumiejącej*. Translated by Dorota Lachowska, Wydawnictwo Naukowe PWN, 2002.

ABSTRACT

WAR OR PEACE? AN ATTEMPT OF AXIOLOGICAL REFLECTION ON THE CONTEMPORARY HISTORY OF POLAND

Roman Kubicki

The author describes axiological dilemmas emerging from two notions: peace and war. Is it possible and necessary to fight even when, on one hand, the fight is a lost one and, on the other, there is a chance to survive in the new political reality? The question is inspired with the tradition of the so-called cursed soldiers, who are becoming increasingly distinctive heroes of the historical politics of the 3rd Republic of Poland. The answer to this question is illustrated both with the author's own text published in 1985 in an underground magazine "Czas" (*Time*), but also with the examples of positive attitudes of selected philosophers with regard to the experience of war.

Key words: senselessness, history, peace, politics, future, sense, war